

J. BRAUN.

„DEMON FILMU“

20

Każdy rozglądał się i łypał okiem wokoło siebie, jak ścigane zwierzę, kluczył, jak złoczyńca i lawirował pomiędzy stadami swoich bliźnich, bojąc się do kogokolwiek zbliżyć i przy kimkolwiek dłużej zatrzymać.

— Boże, Boże — łamał ręce Borghe. — Nie starczy już więzień i szpitali. Lekarze nie mogą podołać nawałowi pracy. Moi ajenci dwoją się i troją, harują dzień i noc, a mimo to nie są w stanie wytropić i odszukać wszystkich przestępstw i ich szalonych sprawców.

Istotnie biedny Mac i jego podwładni, komisarze, ajenci i urzędnicy wszystkich obwodów stolicy byli przeciążeni pracą. Walka ta była nad ich siły. Prostu brakło ludzi, by w ten kolosalnym mieście o średnicy 98 mil, ang. o kilku tysiącach placów i ulic roztoczyć czujną opiekę nad mrowiem teatrzyków, kabaretów, spelunek, domów gry i rozpusty, palarni opium i niezliczonych chińskich barów, będących niezbadanym, nieprzeniknionym dotąd siedliskiem mętów i zbrodni...

Wyległy na światło dzienne jakieś upiory, jakieś zmary o błędnych oczach i bladych obliczach, jakieś maski ludzkie zżarte chorobą i wykrzywione grymasem brzydoty. Indywidua dziwne, cudaczne, plugawe, obrośnięte zbiry o pokiereszowanych nożami i bokserami mordach, cyniczni apasze z haremami wulgarnych, rozpasanych dziewczek...

Nikt nie mógł już być pewien zdrowia, mienia i życia. Włóczyli się po mieście apatyczni, cuchnący łachmaniarze patrzący z podełba, źli i mrukliwi. Węszyły po klatkach schodowych i podwórzach jakieś dziady, jakieś koślawe powsinogi, jacyś garbaci i niemi rozglądający się niespokojnie. Po nocach kradzieże, włamania, przestępstwa nairozmaitszych kategorii, napady zbrojne na głównych ulicach. Rozlegał się nagle w ciszy tupot biegnących ludzi, wrzask gwałconych kobiet i suche trzaski rewolwerowych wystrzałów. Tu i ówdzie, w biały dzień, znienacka gwizdały kule z okien i z za węglów ku przejeżdżającym autom i karetom. Mnożyły się głupie, bezmyślne zamachy...

Zdumiewała przytem obrotność i zręczność tych złoczyńców. Z przedziwnym sprytem, z olśniewającym wirtuozostwem, z diabłą braurą wywijali się z wścierzą obław policyjnych i z rąk najwytrawniejszych detektywów. Z jakąś chorobliwą, genialną łatwością przyswoili sobie oni cały nieprzebrany skarb kruczków, sztuczek i sposobów ucieczki, wyświeblonych w obrazach „Demona Filmu“, w jego kinoteatrze.

Potworzyły się szajki i bandy zorganizowane świetnie, działające z przemysłną inteligencją warjatów, kierowane bezwątpeńia przez ludzi wykształconych, rozumnych, nawet o rozległej wiedzy, ogarniętych obłędem zbrodni i zabłąkanych w legowiska społecznych szumowin.

Ajenci w przebraniach apaszów, w łachmanach opryszków, zamaskowani pod postacią żebraków i nędzarzy wciskali się, wnukali, jak woda w szczeliny, w zgnite zaułki, w zapadnie wejść tajemnych, w jamy robaczywych szynków piwnicznych. Widzieli tłuszcze strajkujących robociarzy, stłoczone w ciemnych, brudnych norach, podniecone, pijane i rżące w karty przy zatłuszczonych stołach. Widzieli domy gry uczęszczane przez wymuskanych dżentelmenów i kobiety z towarzystwa cheiwe brutalnych wrażeń i barbarzyńskich wstrząsów. Widzieli orgie białych kobiet zalewających gardła gorzałką w towarzystwie półnagich murzynów z warsztatów portowych. Widzieli zwierzęce bakchanalie arystokratek i „panien z dobrych domów“ w gabinetach chińskich barów, pełnych wszelakiego tałatajstwa. Kobiety tańczyły na stołach nagie, oda te bestjałsko z sukien, wśród kałuży rozlanego wina i waliły się bezprzytomnie w ramiona chińskich kulisów na posłania z mat, gdzie tarzały się krzycząc wśród konwulsyjnych skurczów. Widzieli wreszcie eleganckie kluby mężczyzn sadystów i homoseksualistów, i kluby kobiet-histeryczek, oddających się kultowi dzikich zboczeń i kokainistek, schodzących się w tajnych, urządzonych ze wschodnim przepychem salonach.

Powstały szajki bandytów w smokingach, związki ulicznic w jedwabniach i futrach, „święte zakony“ bachantek i nagich tancerek wynajmowanych na „uczty Sardanapalowe“ w pałacach za bajorńskie sumy.

Rozmnożyły się wreszcie niezliczone wypadki obłędu, szalów i pomieszania zmysłów.

Ale Mac Sterling odkrył na „Placu Indochińskim“ lokal, gdzie schodzili się zgola inni od wszystkich wymienionych dotychczas szaleńcy...

Byli to „biczownicy“.

Na tle ogólnego rozprężenia, na tle epoki graniczącej wprost z epoką barbarji i ludożerstwa, na tle hegemonji zbrodniczych parj-sów pojawiły się bractwa religijne, cudaczne „sekty pokutujących“ i „zakony odkupieńców“. Wybuchały nagle ni stąd, ni zowąd chore kwiaty mistycyzmu, rozwierzgane misterja mężczyzn i kobiet w tajnych świątyniach, okrutne obrzędy pokutne katujących się i kaleczących potwornie ludzi.

Odżyły, Bóg wie jakim sposobem — stare, odwieczne kultury. Sekty czcicieli Mitry, czcicieli egipskich bogów, czcicieli starego, fenickiego Baala-Molocha wyrosły jakby z pod ziemi. Najstraszniejszym był fakt, że odkryto wypadki składania ludzkich ofiar na ołtarzach tych bogów. Próżno policja zamykała te lokale, próżno rozpędzała zgromadzenia i aresztowała ich kapłanów, próżno tępiła te zwyrodniałe, anormalne objawy.

Odradzały się, były jak hydra, której w miejsce uciętej głowy sto innych wyrasta...

Przed oblicze Borghe'a przyprowadzono raz człowieka, który nauczał „wiernych sekty Ghasa“ piętnujących kobiety, Szaleńcy ci uważając kobietę za przyczynę tych nieszczęść, jakie nawiedziły rodzaj ludzki, wlekli swoje nieszczęsne, poświęcające się współwyznawczynie przed ołtarze swoich bałwanów i rozebrane z szat kładli na ofiarnych stołach, poczem „ofiarnik“ wypalał im rozpaloną do czerwoności pieczęcią straszliwe piętna na piersiach i udach.

Borghe usłyszawszy relację agentów wpadł we wściekłość.

— Człowieku, bydlę, kanajlo! — wrzasnął. — Czy nie zdajesz sobie sprawy z ohydy twoich czynów?

„Ofiarnik“ patrzył nań spokojnie przez wybałuszone ślepie.

— Nieszczęśniku trwający w błędach — przemówił — nawróć się. Zbłąkana owco przybiegnij do źródła prawdy...

— Oh, kazałbym go smagać — warknął Borghe do urzędników.

— Bij, katuj, znęcaj się tyranie nad sługami prawdy — ciągnął monotonna kapłan „sekty Ghasa“. — Przyjdzie dzień pomsty, a wtedy czarni Aniołowie nadlecą z ciemności i zetną głowy wasze mieczem. Pan pochłonie was, jak smok o gorejących wnętrznościach.

Zrozpaczony Borghe machnął ręką i kazał go zakutego odprowadzić do więzienia. Był bezsilny wobec tych warjatów. — Pocieszał się jednym tylko. Miał jakąś dziwną, niczem niewytłumaczoną nadzieję, że obłęd miasta ustanie zwolna i wygaśnie, gdy znikła jego najważniejsza i jedyna przyczyna, gdy ognisko infekcji zostało usunięte. Wkrótce też pokazało się, że nie omylił się w swych przypuszczeniach... Tymczasem jednak obłęd trwał — — —

Wyprawa do atelier „Demona Filmu“ odwlekła się z powodów od jej aranżera bynajmniej niezależnych...

Gdy bowiem o naznaczonym terminie Djana i Mac zjawili się u Wielkiego Detektywa, odbierając instrukcje, tok tajnych obrad przerwał nagle suchy, niespodziany trzask wystrzału...

Zaraz za nim posypały się drugi, trzeci, dziesiąty...

— Co to? — porwała się Djana.

Mac skoczył do okna.

— Nie widzę nic...

Borghe i Djana poszli za jego śladem.

— To nie na naszej ulicy — rzekł Borghe. — Dalej.

Obawiam się, że to policja zmuszona była użyć broni...

Bum-bum-bum! — huknęły salwy, a po ulicach załomotał głucho maszynowy karabin...

— Boże — jęknęła Djana. — Biją się.

Ścisnął im gardła spazm nerwowy...

— Nie denerwować się — rzucił Borghe. — Zaraz się dowiemy co to. Zapytam telefonicznie...

Podszedł do biurka. Równocześnie pukania wzmogła się i stała się tak gwałtowną, tak gęstą, że aż Mac zaklął siarczyście.

Ależ to dosłowna bitwa — krzyknął wzburzony.

Dzwonek telefonu odezwał się sam.

Kto? — pytał Detektyw.

— Komisariat IX tej dzielnicy...

— Co się tam dzieje? Skąd te strzały?

— Biją się. U nas...

— Ale kto z kim, u licha...

— Biali i chińczycy mordują murzynów, szefie!

A do diabła! Cóż to nowego?

— Chińczycy podburzyli robotników. Nie wiemy co robić. Policja nie może sobie dać rady. Czy wolno zrobić użytek z broni?

— Ależ oczywiście... jeśli się nieda inaczej...

Runął potężny huk i zairzęsły się szyby...

— A to co? Przecież nie mają dział — co to znaczy?

— Zaraz zapytam i odpowiem...

Borghe czekał ze słuchawką w ręce... Grzmoty następowały jeden po drugim, coraz częściej...

— Halloo...

— Jest...

— Panie szefie. To były petardy. Burzą czarną dzielnicę.

Mac otworzył okno. Zdaleka wiatr przyniósł przeciągły, bolesny jęk tłumów.

— Strzelać — mówił Borghe. — Przyszłę na pomoc żołnierz.

Trach-tarach, trach tarach, trzeszczała, łomotała, turkotała gorączkowa strzelanina. Krzyk wzmagał się. Kilkakrotne echo powtarzało hałaśliwie każdy odgłos waiki, zlewając wszystko w jeden straszliwy, bezustanny, ogłuszający łoskot.

— Halloo! — naglił Borghe.

— Co tam?

— Wojsko do „Czarnej Dzielnicy“.

— Poszło...

— Chwała Bogu!...

Środkiem ulicy pędziły auta towarowe naładowane wojskiem. Za chwilę przetarabaniły się auta pancerne...

Ściemniało się... Lampy błyskały już nad przerażoną stolicą. Z IX-tej dzielnicy szedł na miasto strach, walił się potworny huk morderczych salw i dziki, nabrzmiały furją wrzask zarzynających się ludzi. Na tle straszliwego chaosu, zgiełku i zamieszania rozlegały się równe, porządne, systematyczne salwy piechoty, która zamykała ulice i poprostu biła na osłep w prawo i w lewo, w jednych i w drugich, by rozdzielić rozjuszone tłuszcze.

(Ciąg dalszy nastąpi).